

Życie to Hong Kong

Przełożył Miłosz Waligórski

Wyższy urzędnik pocztowy Božo Doležal przewidywał rychły upadek Austro-Węgier i wszystkim o tym rozpowiadał. W Suboticy nadali mu pseudonim Boža Katastrofa, więc przeniesiono go do Mariboru, gdzie z kolei nazwali go Božo Skandal, a kiedy również tam przebrał miarkę, Zarząd Poczty oddelegował go do Kulen Vakuf, gdzie akurat otwierano pocztę i gdzie, według powszechnej opinii, był koniec świata. W Kulen Vakuf otrzymał pseudonim Efendi Kijamet¹. Niebawem zachorował, nie tyle ze smutku czy samotności, co od długiego czekania i, nie doczekawszy się spełnienia swoich prognoz, umarł przed Nowym Rokiem 1913. Zostawił żonę Rozikę i syna Feliksa, którzy zaraz po tym, jak pochowali Bożę na pobliskim cmentarzu katolickim, przeprowadzili się do miasta L. (jego nazwy nie będziemy wspominać z powodu niezamkniętych spraw majątkowych i żyjących jeszcze krewnych), gdzie w 1899, wówczas jeszcze będąc przy kasie, nieboszczyk wynajął mieszkanie na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Chociaż mógł dopłacić jedynie dwie setki koron, nie kupił go. Był bowiem przekonany, że za dziewięćdziesiąt dziewięć lat skończy się nie tylko Monarchia, ale cały świat. „Proszę spojrzeć, szanowna sąsiadko, dokąd to wszystko zmierza, trzęsienia ziemi, pożary, wulkany... nie dają Ziemi nawet dwudziestu lat, a co dopiero myśleć o roku dwutysięcznym!” – mówił Fanice Frankl przyjaciółce Roziki, kiedy próbowała go namówić, żeby dorzucił tych głupich dwieście koron, by zarówno on, jak i reszta jego rodziny na zawsze mieli święty spokój.

Pierwsza wojna światowa nawet nie drasnęła miasta L. Jedynie wdowa Rozika troszkę przygłuchła, kiedy sierżant okręgowy Ivek Zlahtina na znak radości z powodu zjednoczenia Słowian Południowych wypalił jej nad uchem ze strzelby myśliwskiej, w następstwie czego z krewnymi, których, chwata Bogu, miała w każdym zakątku świętej pamięci Monarchii, od Wiednia i Mariboru, przez Kakanj i Ustipračę, aż po Suboticę, Slankamen i Ćeneral Janković, porozumiewała się, kokieteryjnie eksponując małżowinę i jednocześnie pytając w języku kraju, z którego krewny pochodził: prosim! molim! he! Przeraziła się, kiedy w przededniu siódmych urodzin syna zauważyła, że Feliks poszedł w ślady ojca i o pewnych przyszłych wydarzeniach wyraża się z nieskrywanym sceptycyzmem. „Kicia już długo nie pociągnie!” – powiedział kiedyś ze współczuciem, taksując śpiącego na kaflowym piecu grubego, szarego kocura. Rozika od razu się rozplakała i zaraz

¹ Efendi Kijamet – Pan Sądny Dzień (z tur.) [przypis tłumacza].

następnego dnia zaprowadziła chłopca do doktora Abela Fertiga, subotckiego psychiatry, dziś już prawie całkiem zapomnianego, ale bądź co bądź w historii medycyny znaczącego lekarza, który psychoanalizę zajmował się niezależnie od Freuda. Po tym jak Feliks poinformował go, że deszcz, który właśnie pada, nigdy nie ustanie, że krzesło, na którym siedzi, zaraz się pod nim złamie, że biała ściana szernieje i że w ogóle nie ma żadnych widoków na pozytywny obrót spraw, doktor Fertig stwierdził, że młody cierpi na kompleks Franciszka Józefa, z którego wyleczyć się można jedynie w przypadku spełnienia wszystkich prorocstw i fiksacji. „To znaczy, żeby mój syn wyzdrowiał, jak najprędzej musi nadejść dzień Sądu Ostatecznego?” – rozpaczła Rozika. „Mniej więcej właśnie to!” – wzruszył ramionami doktor Fertig, równocześnie wypowiadając swoją ostatnią kwestię w tej opowieści.

Matka, słuchając rad starych kobiet, przygotowywała synowi kąpiele w lodowatej wodzie (Feliks: „Woda już nigdy nie będzie ciepła!”), pobudzanie biczem (Feliks: „Złamię się nie tylko różga, ale i plecy!”), błagała go i przekonywała, ale do niczego to nie prowadziło.

Latem 1928, kiedy do wygaśnięcia umowy mieszkaniowej w mieście L. rodzinie Doleżał zostało jeszcze siedemdziesiąt lat, Feliks znalazł swoje pierwsze zatrudnienie w Królewskim Instytucie Hydrometeorologicznym. Jego komunikaty były solidne i precyzyjne (temperatura powietrza wynosi plus trzydzieści pięć, ale będzie cieplej, na jutro zapowiada się słoneczna pogoda, która nieuchronnie doprowadzi do nieokreślonych pożarów). Zmęczony wracał do domu i od razu kładł się spać. Matka Rozika była przeszczęśliwa – Feliksowa smykałka do katastrof znalazła profesjonalne zastosowanie.

„Ten człowiek zgubi świat i rozgromi pół Europy!” – powiedział Feliks, kiedy pewnej niedzieli po raz pierwszy zobaczył w gazecie zdjęcie Hitlera. „A ten wpakuje nas wszystkich do lodówki” – dodał znad następnej strony, na której figurował Stalin. „Ten zawrze pakt z Hitlerem!” – krzyknął, natknąwszy się na zdjęcie ministra Chamberlaina. „A ten idiota przeżyje nas wszystkich!” – zawyrokował, kiedy doszedł do ostatniej strony z komiksem o Kaczorze Donaldzie. Pani Rozika załamywała ręce: „Och, synku, synku...”. Nie mogła doczekać się poniedziałku, powrotu Feliksa do pracy.

Wiosną 1941 (upływał właśnie czterdziesty trzeci rok wynajmu mieszkania w mieście L.) do drzwi Roziki i Feliksa Doleżał załomotali żołnierze. „Jesteście Żydami, Cyganami czy Serbami?” – tłuszcioch z czarnym protokołem jakby recytował *menu*. „Gorzej, panie, o wiele, wiele gorzej...” – Feliks zaczął swoje, ale żołnierze nie myśleli tego wysłuchiwać; bez gadania wzięli go i Rozikę ze sobą i wystali do obozu. Przez kolejne cztery lata czas płynął na próżno. W mieszkaniu rodziny Doleżał nikt nie mieszkał, a tymczasem systematycznie upływał okres wynajmu.

Rozika z obozu nie wróciła, ani w nim nie umarła. Po prostu gdzieś na północy Polski wyszła sobie z bydlęcego wagonu i przepadła w mroku. Żołnierze krzyczeli za nią: „Halt! Halt!”. Ona, pomagając sobie palcem, nadstawiała ucha: „Prosim! Prosim!”. Oni strzelali, ale nie trafiali – bo to niemożliwe w tej opowieści, a ona się nawet nie obejrzała

– bo któż by się oglądał, kiedy strzelają mu w plecy; poszła dalej swoją drogą, której kres pozostał niewiadomą na zawsze.

Feliks przeżył obóz, bo jego oczekiwania (niczym u sofisty Zenona) w całości pokryły się z rzeczywistością. Człowiek, który w niczym nie pokłada nadziei, nie może umrzeć, tak samo nie może skończyć w komorze gazowej ten, kto tylko na to czeka. Do każdego nieszczęścia konieczna jest choćby krztyna nadziei. Kiedy w maju 1945 przyszli żołnierze amerykańscy, zastali w obozie siedmiu żywych. Odprowadzili ich na stację kolejową i powiedzieli, że są wolni. Przejżdżał właśnie transport bydła, który akurat nie wiozł ludzi, tylko zebry ewakuowane z ogrodu zoologicznego. Pociąg bardzo się ociągał a wszyscy śledzili wzrokiem jego bieg. „Życie przeszło nam koło nosa!” – zawyrokował Feliks, a jego kompani uronili łzę. Pochlipywali – powiedział prawdę, wierząc, że mówi coś strasznego.

Jesienią 1947 Feliks Doleżał ożenił się z Mariną Podborską, primabaleriną w mieście L. Była tym białym łabędziem, dla którego prawdziwe życie jest takim okropieństwem, że nie mogą równać się z nim nawet najbardziej katastroficzne prorocтва. Rok później urodziła córkę Dorotkę: „Daj Boże, żeby to dziecko kiedyś w ogóle otworzyło oczy!” – powiedział Feliks nad łódeczką. Coś ukłuło go pod łopatką, sto igieł przeszło mu serce, zrozumiał bowiem, że na głowę dzieciątka w każdej chwili może spaść nieszczęście. Wtedy też umarł. Dokładnie pięćdziesiąt lat przed upłynięciem okresu wynajmu mieszkania w mieście L.

Siedemnaście lat później baletnica Marina Podborska złamała obie nogi podczas jazdy na nartach w Kranjskiej Gorze. Leżała w lublańskim szpitalu, a kiedy tylko stanęła na nogi, wyskoczyła z okna. W powietrzu zrobiła kilka piruetów i przeniosła się na tamten świat (oczywiście jeśli on w ogóle istnieje a nie jest jedynie kiepskim lekarstwem na niepiękne życiowe przepowiednie). Pochowano ją na miejskim cmentarzu w obecności córki Dorotki, która podczas pogrzebu gorzko łkała. Po matce odziedziczyła lęk przed codziennością, a po ojcu świadomość nieświeatlanej przyszłości.

Próbowała ratować się małżeństwem z Vladetą Bingulcem, lewym łęcznikiem Klubu Piłkarskiego Proletariusz, człowiekiem prostolinijnym i zupełnie obojętnym nie tylko na sprawy ludzkości, ale nawet swojej rodziny. Urodziła mu jednego syna, potem drugiego, trzeciego – i tak do siódmego. Właściwie siódmego nie urodziła – to znaczy poroniła, a potem gorzko płakała. Kiedy stan morza też wylanych w związku Doleżał-Bingulac przekroczył poziom uszu, Vladeta wyjechał do Argentyny trenować klub Defensore de El Chako – i już nigdy nie wrócił. Wydarzyło się to w 1967; Dorotka została sama z sześcioma synami i trzydziestoma jeden laty pozostałymi do zdania mieszkania.

Pierwszy syn zostawił ją w 1978 i wyjechał do Bajmoku, gdzie pracował jako zwrotniczy. On też już nigdy się nie odezwał. Drugi wyprowadził się trzy lata później, po nim zaś w dwuletnich odstępach wybyli kolejni trzej. Szósty, najmłodszy o imieniu Bożo, został przy niej aż do wybuchu wojny w mieście L., kiedy uciekł przed mobilizacją do dalekiej Finlandii. Stamtąd dał o sobie znać dopiero po trzech latach, przed Nowym Rokiem 1994. W liście pisał: „Kochana mamó, wszystko, co stąd widać, jest cieplejsze

i bardziej południowe. Trzy lata temu ukulałem bałwana; już trzy razy zdążyłem wstawić mu nową marchewkę...". Dorotka płakała, jak płacze każda matka, kiedy czyta list od syna. Do wygaśnięcia umowy wynajmu zostały jeszcze cztery lata.

Pod koniec września 1997 roku odwiedził ją Richard Batkovich, spadkobierca Petra Batkoviecia, który drugiego stycznia 1899 na dziewięćdziesiąt dziewięć lat wynajął mieszkanie Bożowi Doleżalowi. Dorotka złożyła ręce na piersiach, Batkovich kiwał głową, ona otwierała usta, by coś powiedzieć, ale on w kółko powtarzał: „Życie to Hong Kong, jest i zaraz go nie ma!”. Przed wyjściem zostawił podpisany i opieczętowany nakaz eksmisji, nabierający mocy prawnej drugiego stycznia 1998.

Każda choinka i każda lampka, każda petarda, raca i każde życzenia, które z początkiem grudnia zaczęły krząć po mieście, w duszy Dorotki drążyły jamę rozpacz. Jeszcze w listopadzie była kobietą w kwiecie wieku (co prawda z podkrążonymi oczami, ale to nie było ważne) a teraz nagle zmieniła się w siwą staruszkę.

Zupełnie sama, w zaciemnionym mieszkaniu odlicza pozostałe minuty, godziny i dni. Wybijają dwunasta ostatniej nocy w roku, a jej zostają jeszcze dwadzieścia cztery godziny życia. Później, być może, przeistoczy się w dziewczynkę z zapatkami albo w jakiś inny sposób dowiedzie, że wszystkie złe przepowiednie spełniają się w jednej chwili i że dziewięćdziesiąt dziewięć lat to pestka w porównaniu z niewiadomą dnia następnego.



Mariusz Gutowski